Odbitka z III tomu Spraw. wydz. filolog. Akad. Umiejęt. w Krakowie.

O NIEWYDANYCH POEZYJACH FRANCISZKA WĘŻYKA

PRZEZ

STANISŁAWA TARNOWSKIEGO.

Kiedy publiczne posiedzenia Akademii Umiejętności przeznaczone na to, by zdając sprawę światu polskiemu o jéj czynnościach świadczyły przed nim o życiu postępie Instytucyi przed niedawnym czasem założonéj zwracają naturalnie myśl do początków, z których ona powstała, do tego Towarzystwa, które było jéj piérwszym kształtem i stopniem, wtedy żywiéj jeszcze niż zwykle stają w pamięci ci ludzie, którzy w dawném Towarzystwie Naukowém działali, długo, usilnie, z poświęceniem siebie a pożytkiem ogółu, którzy pragnęli gorąco jego utrwalenia w bycie, wzmocnienia w siłach i działaniu, podniesienia w znaczeniu i wpływie, a tego, coby było spełnieniem ich pragnień i uwieńczeniem ich starości, przemiany Towarzystwa w Akademiję Umiejętności już nie widzieli. A między tymi, przed innymi może, staje w pamięci

jedna postać sędziwa. jedno imię czcigodne, jedno życie ciche, proste, a godne i pełne zasługi: postać starca, który pod siwym włosem zachował wszystkie uczucia, wszystkie pragnienia młodości, imię pisarza. który zawsze pisarstwo swoje pojmował jako urząd w służbie dobrego, życie człowieka i obywatela, które całe prawie w tém mieście ubiegło, a z niém, z tą Instytucyją, z tym domem nawet, tak się zrosło, że dziś jeszcze w tyle lat po jego śmierci, jeszcze się prawie dziwném zdaje nie widzieć kasztelana Wężyka. I ten nie doczekał tego uzupełnienia, uwieńczenia dzieła, jakiém było przetworzenie Towarzystwa na Akademiję, a z pewnością nikt nie byłby się bardziéj radował z téj zmiany, z tego postąpienia w godności od niego, który całą pracę swoich lat ostatnich, całą swoją usilność i energiję, któréj wiek nie nadwątlił wcale, owszem wzmocnił raczéj, skupił w téj jednéj myśli, obrócił do tego jednego celu: zabezpieczyć i utrwalić byt Towarzystwa Naukowego, rozwinąć i podnieść jego działanie i jego pożytki. Kiedy więc traf szczęśliwy, raczéj łaskawa uprzejmość tych, którzy mieli do tego prawo, dały nam sposobność poznania pism Wężyka dotąd w druku nie wydanych, spieszymy udzielić o nich wiadomości, w przekonaniu, że wypełnimy obowiązek tak względem oświeconéj publiczności, która tylko część dzieł jego znać może, jak i względem zmarłego autora, który do czci i pamięci ma słuszne prawo.

Nie będziemy się wdawać w przypominanie, tém mniéj w sądzenie dawno znanych pism Wężyka: znane są i osądzone dostatecznie, ani w opowiadanie jego życia, jego naukowéj i obywatelskiéj czynności i

zasługi. Ta z pewnością godnąby była opowiedzenia, a opowiedziana mogłaby być zajmującą: bo z tém życiem wiąże się pół wieku przeszło narodowéj historyi, bo początek służby Wężyka sięga czasów Napoleona, bo jego wiek męzki przypada na czasy królestwa kongresowego, bo od początku do końca towarzyszy on historyi Krakowa jako wolnego miasta, bo jego zawód pisarski rozpoczęty w Towarzystwie Przyjaciół nauk, kończy się w Towarzystwie Naukowém krakowskiém, tak że on, rzec można, łączy jedno z drugiém i kiedy tamto ustało, to w jego miejscu zrobić chce środkowém ogniskiem życia naukowego w naszym kraju. Opis tego żywota mógłby być ciekawy, a wśród mnóstwa figur największéj czy skromnéj miary, wśród mnóstwa spraw największéj czy mniejszéj wagi, wśród europejskich wojen czy literackich zapasów, wśród niepokojów i nadziei, czy w ciszy jednego małego miasta i nieznacznéj choć nie nieznaczącéj pracy, postać sędziwego pisarza mogłaby wydać się zajmującą, a zawsze wydałaby się poważną, godną i nieskazitelną. Ale rys życia człowieka, czy ocenienie wszystkich dzieł pisarza, jego talentu i stanowiska, wymagałyby więcéj czasu, niż go dziś temu przedmiotowi poświęcić można: dla tego pomijając Radę Stanu księztwa warszawskiego i Senat królestwa, Towarzystwo Przyjaciół Nauk i Towarzystwo Naukowe krakowskie, Barbarę i Bolesława Śmiałego, Okolice Krakowa i Powieści na wzór Walter-Scotta pisane, poprzestaniemy na krótkiéj wiadomości o niewydanych poezyjach Wężyka.

Obejmują one liczbę dość znaczną drobnych wiérszy, dwa dramata całkowite, kilka fragmentów i dwa przekłady, Eneidy i Edypa króla z Sofoklesa:

Edyp ten „jeszcze z ław szkolnych poczęty (w roku 1804) — mówi autor w krótkiéj przedmowie — oczyszczony z dawnego pyłu (przejrzany i poprawiony w roku 1856), wiąże z sobą alfę i omegę długoletniego żywota, a pod tym przeszło półwiekowym pomostem leży głęboka przepaść. Tkwią w niéj szeroko rozsiane dwóch pokoleń mogiły, i leżą pogrzebane ogromnego rozmiaru wypadki, udaremnione i gorzko zawiedzione otuchy.“ Świadczyć zaś ma zawsze podług słów autora „o ciągłych dążnościach do jednego celu, (o niezłomném wytrwaniu zapewne w jednéj i téj samėj estetycznéj wierze).“ Tłumacz zdaje się mniemać, widać to z téj saméj zawsze przedmowy—że po nieograniczoném panowaniu romantyzmu świat się do dawnych bogów, dawnych piękności nawraca, i że nadszedł czas, kiedy można przed nim wspomnieć Sofoklesa, dać mu do czytania Edypa. I w tém się myli, dzieli uprzedzenia wszystkich współczesnych. Ten zwrot w poezyjach europejskich, który je wszystkie odrodził a który niewłaściwie romantycznym nazwano, nigdy nie wypierał się Sofoklesa, nie odrzucał Eshyla, nie bluźnił Homerowi, owszem, oparty na lepszéj, prawdziwéj znajomości klasycznéj starożytności, walczył tylko z fałszywém jéj pojęciem i złem naśladowaniem, z Edypem Woltaira nie Sofoklesa, z Henryadą nie z Iliadą, i nie nawrócił się do dawnych bogów, tylko ich do czci należnéj przywrócił, uprzątnąwszy z ołtarzy fałszywe bożyszcza. Ale ta pomyłka w sądzie tak naturalna u dawnego członka

Towarzystwa Przyjaciół Nauk nawet tak mało uprzedzonego, tak w swoich pojęciach szerokiego jak Wężyk, nie potrzebuje nawet tłumaczenia i wymówki, bo u niego jest doprawdy tylko pozorną. Jakkolwiek mówi i sądzi, ceni on to, co prawdziwie piękne, najlepszym dowodem ten Edyp: Kiedy Francuzi, a nasi Polacy za nimi, znali w starożytności tylko Rzymian, a Greków ze słuchu lub co najwięcéj z przekładów, on umie po grecku i tłumaczy Edypa z oryginału. Czy ten przekład odpowiada warunkom wymaganym przez znawców prawdziwych, jak mu tego autor życzy, nie nam sądzić. trzebaby wiadomości filologicznych, bez których porównania zrobić ani zdania mieć nie można. Znawcy twierdzą podobno, że jest to Edyp jakoby złagodzony, zmiękczony nieco stylem, trochę zanadto wypolerowany, ale oddają mu tę sprawiedliwość, że jest wierny, co do polskiego wiérsza bardzo poprawny, niewątpliwie z oryginału zrobiony, wszystko razem wziąwszy poważny i cenny. W każdym razie sama znajomość poezyi greckiéj i szczęśliwy instynkt w wyborze, odróżniają Wężyka korzystnie od innych współczesnych, od Dmóchowskiego naprzykład, który tłumaczył Homera z tłumaczeń, od Osińskiego, który mniemał, że zna tragików greckich bo znał Fedrę i Ifigienię Rasina, od Felińskiego, który mogąc ładnie tłumaczyć wybierał do tłumaczenia poezyje Delilla.

A różnica to nie jedyna. My, kiedy mówimy o klasykach z tych czasów, wyobrażamy sobie wszystkich jednakowo myślących i wierzących, jednakowo wyłącznych, niezłomnych, fanatycznych i zatwardziałych. Tymczasem każda wiara ma różnych wyznawców i różne stopnie gorliwości, a w obozie klasyków

kryły się różne odcienia wyobrażeń. Wężyk choć połączony z nimi wspólnemi zasadami, nie należał do tych, których wyśmiewa Mickiewicz, że „winszują sobie, że nie umieją po holendersku i nie czytają Lessinga.“ Czytał on i Lessinga i Schlegla, i wcześnie już, bo w tych latach, kiedy o młodym Brodzińskim nikt jeszcze nie był słyszał, pozwalał sobie wyznawać jakieś wolnomyślne, podejrzane, heretyckie opinije, wątpić w jedność miejsca, zachwycać się nad Szekspirem. Dowodzą tego same jego małe rozprawy o Poezyi dramatycznéj, dodane jako przedmowy do dawniejszych tragedyj: ale wyraźniéj jeszcze dowiodła sroga cenzura Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Poleciło mu ono — mówi autor w przedmowie do dramatów późniejszych — poleciło mu „skreślenie rozprawy o poezyi dramatycznéj, (w roku 1811). Lecz odsądzony przez swych kolegów, którzy wszelkiéj wartości zaprzeczyli Szekspirowi, musiał na czas późniejszy z niewczesném zdaniem umilknąć. Rzecz dziwna, że do takiego wyroku należał tak zkądinąd zasłużony piśmiennictwu Niemcewicz, który nietylko doskonale język angielski posiadał, lecz nadto żywym był świadkiem nieposlednego wpływu dzieł gienialnego Szekspira na umysły jednego z najoświeceńszych narodów...... Pośród takiego usposobienia umysłów, nieraz wątpliwość ogarniała młodego pisarza: Czy on się myli? czy tylu wyższych i tak zasłużonych mężów? rosło naturalne pytanie. Ztąd poszły w końcu zużyte kształty piérwszych jego dramatycznych utworów: „nie łatwo było śpiewać na przekór wiekowi.“

Oto jak Wężyk sam tłumaczy tę pewną konwencyjonalność, która w Barbarze lub w Gliń-

skim zaprzeczyć się nie da, której zdaje się i sam nie zaprzeczać: oto jak daje poznać, że oddawna, od młodości tęsknił do innych, swobodniejszych form dramatycznéj poezyi. Dla czego nie skorzystał z téj rewolucyi, jaką sprawiła w poezyi walka romantyków z klasykami? Dla czego nie zawarł przymierza z nowatorami i w ich obozie nie chciał pisać tak, jak rozumiał, że pisać należało? Nie przez uparty wstręt ani przez zaślepiony fanatyzm: niechęci do młodych poetów on nie miał, skoro po Wallenrodzie zaraz, w chwili kiedy Koźmian najzapamiętaléj rzucał na Mickiewicza gromy swego klasycznego oburzenia, on do tego samego herszta buntowników pisał wiersz:

Kto nie zapłakał na głos wajdeloty
Temu za życia nućmy pieśń grobową.

Nie z uprzedzenia więc trzymał się Wężyk zdala od romantyków, ale dla tego raczéj, że zupełnie trzymać z nimi nie mógł: może z téj uwagi szlachetnéj, że dawnych towarzyszy w niebezpieczeństwie opuszczać, łączyć się przeciw nim z przeciwnikami nie byłoby pięknie: może przez skromność, może myślał, że kiedy podług słów jego własnych „władca ptaków orzeł śpiewa“ to inni nie znaleźliby słuchaczów. Późnié zaś, kiedy po zwycięztwie romantyzmu krytycy i czytelnicy pastwili się nad klasykami jak marodery na pobojowisku, może się obawiał ich przesadnych uprzedzonych sądów i nie chciał na nie wystawiać swoich estetycznych przekonań i swoich siwych włosów. Dość, że choć pisać nigdy nie przestał, drukować nie chcia i chyba przypadkiem, rzadko kiedy puścił w świat jaki mały wierszyk.

A w téj ciszy tymczasem, w téj pozornéj bezczynności rozszerzał się zakres i wzmagała się sama siła jego tworzenia. W dawnéj formie, z widocznym i zbyt słusznym względem na poprawność języka i wiersza, dramat jego późniejszy jest od dawnego niezaprzeczenie i nierównie wyższy. Znać tu już staranie bardzo usilne, żeby każda postać była sobą i miała swoją własną fizyognomiję, zwłaszcza, żeby ją miała historyczna epoka. Jagiełło nie jest już jak Rytygier z Wandy piérwszym lepszym rycerzem i jakiegokolwiek wieku i kraju, ale autor chce, stara się, żeby był i Litwinem, i poganinem, i tą naturą przystępną szlachetnym uczuciom jaką był, i trochę dzikim, olśnionym i ośmielonym tym świetnym cywilizowanym światem, jakiego nigdy nie był widział. Nie można powiedzieć, żeby ta charakterystyka była się zawsze zupełnie udała, ale samo usiłowanie dowodzi, że podniosło się całe poetyczne pojmowanie i stanowisko Wężyka. Nawet forma, wiersz, udaje mu się lepiéj, jest żywszy i swobodniejszy, zdaje się, jak żeby z latami było poecie przybyło uczucia i wyobraźni. A co do dawnych reguł i przepisów to te przekracza jak najzuchwalszy romantyk: aż czasem chciałoby się powiedzieć mu, żeby więcéj pamiętał o jedności miejsca: w drugiém Bezkrólewiu naprzykład każda scena prawie odbywa się gdzieindziéj, i sztuka byłaby trudną do przedstawienia z powodu ciągłych zmian dekoracyi. A korzystał Wężyk nietylko z dramatycznych licencyj, ale i z romantycznéj poezyi: lata milczenia wyszły mu na dobre. Znać, że wiele rozmyślał, wiele studyjował, wiele się sam z sobą uczył,

kiedy się przeobraziła i podniosła sama natura jego pomysłu.

Oba dramata niewydane noszą tytuł Bezkrólewia. Piérwsze jest po Ludwiku, Drugie po Zygmuncie Auguście. W położeniu Polski za tych dwóch Bezkrólewiów widział Wężyk wiele podobieństwa, a upatrywał jeszcze i to zbliżenie, że w jednym jak w drugim razie została kobieta, Jadwiga i Anna Jagiellonka jako jedyna istota, przez którą nowy stan rzeczy mógł się powiązać z dawną tradycyją i z dawnym domem królewskim. Zbliżenie tylko pozorne: bo kiedy w piérwszém Bezkrólewiu poświęcenie Jadwigi dało Polsce polityczną wielkość i dwieście lat pomyślności, rola królewnéj Anny w drugiém była bierną i na bieg wypadków na przyszłość Rzeczypospolitéj nie wpłynęła wcale. Wężyk téż nie robi z niéj bohatérki, ale robi wśród różnych ambicyj i osobistych widoków, jakoby samą ideją ojczyzny, wcieloną w serce i sumienie najczystsze. Każdy tam ma coś swojego o czém myśli: Anna tylko o Polsce, a przez to jest poważniejsza, wyższa i lepsza od wszystkich. To jéj charakter i jéj rola w dramacie.

Wszystko razem wziąwszy, Bezkrólewie Piérwsze jest może ładniejsze, na scenie wydałoby się zapewne lepiéj od drugiego. Sam przedmiot lepiéj się do dramatu nadaje. Bierze go Wężyk w chwili, kiedy odłożony poraz niewiedzieć który przyjazd Jadwigi grozi rozprzężeniem Rzpltéj. Powstają antagonizmy między Wielką a Małą Polską: powstają pretendenci do tronu: Władysław Biały zbiegł z Dywiońskiego klasztoru i stanął w Krakowie, Ziemowit ciągnie z Mazowsza: Senat polski tymczasem już dawno

ułożył się z Jagiełłą, ale wszystko to za nic, jeżeli królowa nie zjedzie, i zamiast połączenia z Litwą będzie Polska miała tylko zamęt i wojny domowe. Ten akt piérwszy jest może z całego dramatu najżywszy: obiecuje akcyję obfitą w żywioł dramatyczny, mianowicie rola dwóch książąt Piastowiczów, ich zabiegi o koronę zdają się nosić w sobie zarody wielu zawikłań. Niestety, z drugim aktem giną gdzieś i ci pretendenci i te ich miękko prowadzone bezskuteczne zabiegi. Takiemi były one w historyi? prawda: ale w dramacie jeżeli usiłowania nie miały więcéj znaczyć ani ludzie więcéj działać, to można było jednych i drugich pominąć.

Wreszcie staje Jadwiga w Krakowie, a wtedy spada na nią piérwszy cios: dowiaduje się ona, że panowie polscy zobowiązań jéj względem Wilhelma za ważne uznawać nie chcą. Zaczyna się obawa, a rośnie na wieść o blizkiém przybyciu Jagiełły. Jak w historyi nie ustępuje Jadwiga łatwo ani prędko: widzi się z Wilhelmem we Franciszkańskim klasztorze, chce wyrąbać fórtę zamkową. Ulega wreszcie w sposób wcale oryginalny i może zręczny. Walki i przełomu w téj duszy nie znać. Kiedy ją przekonano, że dla przyłączenia a zwłaszcza dla nawrócenia Litwy poświęcić się powinna, w krótkich i suchych słowach zezwala ona, żeby Jagiełło przyszedł na zamek. Walka odbywa się w jéj sercu, ale nikt jéj nie widzi, nikt prócz Jagiełły. Ten ledwo ją ujrzał, odgadł, że królowa wita go z przymusem, pyta, i wtedy łatwo poznaje stan jéj duszy: postanowienie jest powzięte i niezachwiane, ale gorycz jest wielka. Wtedy on bierze całą sprawę w swoją rękę, mimo oporu pa-

nów polskich, do których przemawia tonem zwierzchniczym, królewskim, jakiego dawno nie byli słyszeli, Jadwigę zwalnia ze słowa, Wilhelma sprowadza na zamek, i sam zasłania przed poddanymi wolność wyboru królowéj. I wtedy Jadwiga, już powolniejsza, bo w nim ma obrońcę, nie zmuszona, sama dobrowolnie oddaje mu rękę, nie z miłości naturalnie, ale z rzetelnego przekonania, z prawdziwą ufnością, z pewną dla niego wdzięcznością. Może kto powié, że ten Jagiełło ułatwiający Jadwidze rozmowę z Wilhelmem i wracający jéj słowo jest zbyt wspaniałomyślny, zbyt romansowy na człowieka. który cel polityczny miał przedewszystkiém na oku, zbyt względny i delikatny, zwłaszcza na Litwina z tego wieku. Być może: jednak trudno się dziwić, trudno brać za złe Wężykowi, że taki nadał sprawie obrót. Rola Jagiełły korzystającego z przymusu zadanego kobiecie jest do traktowania dość trudna. Wężyk odjął mu przez to ten niemiły charakter szczęśliwego niezasłużenie, i nie zupełnie szlachetnie podniósł go wysoko w szacunku Jadwigi: sam los jéj wydaje się przez takie zakończenie mniéj twardym, a Jagiełło pod wszystkiemi względami wyższym od Wilhelma.

Rozwiązanie to zepsute jest nagłém zjawieniem się mnicha, przełożonego Dywiońskiego klasztoru, który szuka zbiegłego Władysława. Myśl wprowadzenia do dramatu tego niespokojnego i awanturniczego ducha była wcale szczęśliwa: ale po zakończeniu sprawy głównéj, drugi koniec drugiéj sprawy, podrzędnéj,— pogoń za tym Władysławem, naznaczona mu pokuta: wszystko to wygląda nieco jak przyczepione a nie konieczne, i pomimo błogosławieństwa danego Polsce

przez mnicha w pięknych wiérszach, które kończą cały dramat, osłabia raczéj niż podnosi wrażenie.

Drugie Bezkrólewie jest mniéj wykończone, z natury przedmiotu mniéj dramatyczne, ale daleko ciekawsze jako dowód przemiany w wyobrażeniach Wężyka, w jego sposobie tworzenia i pisania od czasu jego piérwszych dramatów. Nie tylko nie wchodzi ono w zakres żadnych estetycznych kodeksów, nie tylko nie jest w niczém podobne do tragiedyj francuzkich, ale jest nawet pomysłem bardzo nowym i śmiałym. Jest to dramat polityczny: bohatérem jest nie człowiek ale sprawa elekcyi. Około niéj grupują się namiętności, ludzie i stronnictwa: jest to obraz dramatyczny politycznego społeczeństwa polskiego, cały w scenach gabinetowych lub w zbiorowych scenach ludowych (ludem tym jest tu naturalnie szlachta): przesilenie zaś w dramacie sprowadza mowa, w któréj Zamoyski rzuca między szlachtę myśl elekcyi *viritim.* To główna scena (Akt IV. Sc. IV) jak Zamoyski jest prawie główną postacią i najlepiéj nakréśloną, (nie tylko w tym dramacie ale w całym może teatrze Wężyka) ma i wielkie rysy właściwe swéj naturze i wielką chęć wyniesienia się i zręczność we władaniu umysłami, i nawet świadomość, że to, co robi, jest niebezpieczne. Oto jego przemowa:

Wiecie, czém była szlachta starodawna —
Czém jest dzisiejsza — ja to wam objawię,
Jedni z nas słyną przez przodków zasługi:
Drudzy, przez własne przewagi i znoje —
Będęż wam liczył szereg braci długi
Których wsławiły i rady i boje?

Od pięciu wieków, krwią szlachty pojona,
Ziemia ta dla nich pała sercem matki.
Jedni z niéj hojne pobrali imiona,
Ci zasłynęli przez cześć i dostatki;
Lecz są z swych zasług szanowni mężowie,
Co w ciężkiéj losów opacznéj przygodzie
Stargawszy lata i mienie i zdrowie
Nie raz do domu wracają o głodzie
A zniósłszy ciosów, przeciwności mnóstwo
Wloką do grobu szlachetne ubóstwo.
Tym w licznych dziatkach Bóg pobłogosławił:
A gdy zszedł ojciec na synów ramionach
Ci dzieląc w równie to, co im zostawił,
Siedzą na szczupłych naddziadów zagonach;
Lecz w każdéj kraju doli i potrzebie
Niosą jéj w hołdzie i byt swój i siebie —
Jednéj to matki rodzone są dzieci
Na jednéj dni swe rozpoczęli ziemi,
Jedno im słońce jak ich panom świeci,
Że niefortunni mająż być gorszemi?
Równi jesteśmy przed Boga obliczem:
Gdy się z nas który z tym pożegna światem:
I gdy przed boskim stanie majestatem
Pan czy chudzina zarówno jest niczém.
Tak z praw odwiecznych najświętszéj warowni
I z władzy swobód krwią przodków nabytéj
Jesteśmy bracia wszyscy sobie równi
Przed majestatem Rzeczypospolitéj;
A gdy rzecz idzie o jéj byt i losy
Równe są wszystkich i zdania i głosy.

J e d e n z e s z l a c h t y:

Dobrze mówi pan Bełzki, głos jego, głos z nieba.
Stójmyż więc silnie przy prawie nabytém
A gdy nadejdzie jutrzejsza potrzeba
Na wybór króla głosujmy *viritim*.
To jest oddzielnie.

W s z y s c y: *Viritim! viritim!*

J o r d a n. Ależ starosto!
Z a m o j s k i. Maszli inne zdanie?
J o r d a n. Tak jest, bo wasze nieładem grożące
J e d e n z e s z l a c h t y. Nie przerywajcie rad naszych
Jordanie.
Z a m o j s k i. Nie czyńcie tamy wolnemu głosowi
J e d e n z e s z l a c h t y. Niech się pan Bełzki wprzód
z nami rozmówi.
A potem inni.
J o r d a n. Łatwiéj w jedno zdanie
Sto głosów spoić — niżeli tysiące.
Z a m o j s k i. Sto głosów niczém, gdy ich są tysiące.
J o r d a n. Któż w tyle głosów natchnie ducha zgody?
Z a m o j s k i. Kiedy się wojna żywiołów rozsroży,
Któż bystrym wiatrom, piorunom i burzom
Wskazuje powrót na łono pogody?
Z tysiąca głosów prawda się wynurzy.
Gdy ją owionie duch boży.
J o r d a n. Duch ten jedynie w zdrowe wchodzi rady:
My wierzym w Boga— ale to nie dosyć —
Trzeba go w serca przez zgodę zaprosić.
A z tłumu często wynikają zwady.
Z a m o j s k i. Duch boży mieszka w nieskażonéj cnocie,
A ta nie chodzi codzień w złotogłowie
Rychléj ją spotkać w ubogiéj prostocie,

Którą się nasi szczycili ojcowie
Prędzéj pod strzechą niż w zamkach z kamienia,
Do których wiedzie marmurowa droga;
Więc lepsza w radach jest szlachta uboga.
Jordan. Piękne to zdanie, trudne do spełnienia.
Zamojski. Wierzcie mym słowom, a jeśli wierzycie
Przysiążcież żadnéj nie dopuścić tamy
Głosom swobodnym — raczéj oddać życie
Za wolność obrad.
Wszyscy. Tak jest przysięgamy!
Zamojski. Raczéj znieść, by nam nędza i niedola
Otwarły smutne do klęsk wszelkich bramy
Niż przy następném wybieraniu króla
Nie mieć wolności.
Wszyscy. Tak jest przysięgamy!
Jordan. Stało się .... spełzły rozsądku rachuby
Zasiane ziarno przyszłéj kraju zguby.

Czego zrozumieć trudno a żałować można to to, że mów posłów zagranicznych z zaleceniem kandydatów nie daje autor w chwili rozstrzygającéj już na polu elekcyjném pod Wolą, ale na prowincyjonalnym zjeździe Małéj Polski. Dla czego? Mowy te są oczywiście streszczeniem ich mów historycznych, a przygotowanie do zjazdu w piérwszych scenach aktu drugiego ma wiele życia i ruchu.

Postacią środkową i górującą nad wszystkiemi innemi jest królewna Anna. Wierną być musi, ale jest poważna, jest to w walce stronnictw i interesów czysta miłość ojczyzny. Przed elekcyją ona każdemu z działających roztrząsa sumienie, każdemu w jego

uczynkach wskazuje jakąś pobudkę osobistą, każdego zaklina, żeby się swojéj myśli wyrzekł, i wszystko napróżno. Podczas elekcyi, ona jak Mojżesz podczas bitwy nie działa, ale z podniesionemi rękoma i sercem modli się o szczęśliwy skutek. Traktując tę postać jednak, zgotował sobie Wężyk trudność jednę, z któréj wprawdzie wybrnął szczęśliwie, ale która wcale potrzebną nie była, i sztuce więcéj szkodzi niż dodaje ozdoby. Wprowadza on hetmana Jazłowieckiego, który marzy o koronie. a chcąc zdobyć sobie jak najwięcéj do niéj tytułów, żąda ręki królewnéj. Naprzód fakt to nie historyczny wcale, zupełnie wymyślony, a powtóre wymyślony niepotrzebnie. Dla czego? chyba z tego przesądu, że dramat bez miłosnéj intrygi obejść się nie może, a gdy miłość nie mogłaby wyglądać podobnie do prawdy, niechże przynajmniéj będą dziewosłęby. Przesąd to, któremu hołdowali więksi od Wężyka poeci, Schiller wszakże zaplątał w romans samą Dziewicę Orleańską: nie ma się więc czemu dziwić, ale zawsze stwierdzić można, że miłość nie zawsze i nie wszędzie jest na swojém miejscu w poezyi. Daléj, narażał ten epizod poetę na wielką trudność a jego półwieczną bohatérkę na śmieszność. Szczęściem oboje wyminęli ten szkopuł bez szwanku. Anna, jest to zasługą i dowodem wielkiego taktu poety, wychodzi z téj sceny oświadczenia obronną ręką poważnie i godnie. Odpowiada z góry Jazłowieckiemu, że ma lat pięćdziesiąt, i że w tym wieku przystoi jéj tylko zostać tém czém jest; każde małżeństwo uważałaby już teraz jako upokorzenie; poddałaby mu się dla dobra ojczyzny, gdyby jéj ręka miała nowemu królowi dodać powagi w oczach narodu, ale bez téj

konieczności do zamężcia się nie skłoni. Jazłowieckiego zaś prosi, żeby ją i koronę zostawił w spokoju i nie zwiększał zamętu roszczeniami, które nie mają warunków powodzenia. Jeżeli już sytuacyja ta miała być w dramacie, to trzeba przyznać, że traktowana jest dobrze, z jedném tylko zastrzeżeniem, to jest, że Anna niepotrzebnie a w sposób nieco teatralny każe hetmanowi schodzić w nocy do grobów królewskich, gdzie się chce modlić o natchnienie i światło, a potém dopiéro da mu stanowczą odpowiedź. Ale jeszcze raz, koniecznym ani nawet potrzebnym ten epizod nie był.

Co jest ciekawe, to widok tego poety, który za młodu opiewał dwór królowéj Wandy, jak na starość zstępuje w koła i sejmiki szlacheckie, jak sceny patetyczne przeplata humorystycznemi, z upoważnienia oczywiście Szekspira, nie Osińskiego. Te zbiorowe sceny nie są może bardzo plastyczne, ale nie można powiedzieć, żeby były pozbawione życia (zwłaszcza scena II, III, IV, V, aktu drugiego). Jeżeli co razi, to rozwiązanie: dramat kończy się okrzyknięciem Henryka pod Wolą. „Vivat król Władysław“! w zakończeniu piérwszego Bezkrólewia robi wrażenie podnoszące ducha, bo otwiéra widok na dwa wieki pomyślności, potęgi i chwały: „Vivat król Henryk!“ na końcu Bezkrólewia drugiego ma sprawiać wrażenie podobne. Tymczasem sąd historyczny budzi się mimowolnie, protestuje i psuje wrażenie przypomnieniem, że ani z elekcyi, ani z Henryka cieszyć się nie było powodu: widok przyszłości, która się z tym okrzykiem poczęła, jest bardzo smutny — jest więc sprzeczność pomiędzy wrażeniem, jakie fakt sam

robi na swoich czytelnikach czy widzach, a uczuciem, z jakiém my potomni na tę sprawę patrzeć musimy.

O przekładzie Eneidy tyle tylko wspomnieć trzeba, że dobry jest zawsze rzeczą wielkiéj wartości, potrzebną w literaturze, a że ten, zdaniem takich, którzy sądzić mają prawo, jest piękny, i ze wszystkich polskich tłumaczeń Wirgilijusza najlepszy. Ale o czém wspomnieć trzeba, to o znacznym zbiorze drobnych ulotnych wiérszy, które zostały po ś. p. kasztelanie a które odbijając wiernie wrażenia, jakie odbierał, uczucia, jakie przechodził od młodości do zgonu, są jak żeby komentarzem do jego życia, wewnętrzną historyją jego umysłu i duszy.

Dawniejsze, z czasów księztwa warszawskiego eszcze, oprócz jednéj Mszy ułożonéj do śpiewu (na prośbę księdza Cybulskiego dyrektora szkoły organistów w roku 1808), i oprócz dość długiego wiérsza do Poezyi, wszystkie spowodowane są ówczesnemi wypadkami. Będzie to Oda na powrót wojska polskiego do stolicy w r. 1809, któréj ostatni wiérsz uczy, że to „powinność nasza święta“, imiona wodzów i żołnierzy czcić „zaraz po Bogu i Napoleonie“: jest druga Oda do księcia warszawskiego: jeszcze inna do wojska polskiego przed rozpoczęciem kampanii rosyjskiéj, a zapał młodego poety i wiara w oręż polski, gienijusz i gwiazdę cesarza są tak silne, że nawet po odwrocie z Moskwy, już w roku 1813 mówi do księcia Józefa:

„Pośród nowego krwawych walk zawodu
„Wytrwałość wszystkie prześcignie nadzieje
„A postrach świata, olbrzym z krwi i lodu
„Pod tchnieniem wiosny stopnieje.“

A kiedy się ta nota zrywa, za królestwa kongresowego większa część wierszy Wężyka odnosi się do bieżących wypadków także, ale do wypadków literackich. Wspomnieliśmy na wstępie, że Wężyk nie był wcale ciasnym i uprzedzonym przeciwnikiem nowszéj poezyi i młodych poetów. Ta grupa jego wierszy dowodzi tego aż nadto wyraźnie. Oto naprzykład co pisze w roku 1827 do żądających krytyki na płody piśmienne.

„Próżno o jego (poety) wartość spory się rozwiodą,
Jest w nim Bóg, on go wspiéra, on jego nagrodą.
Lud go słucha, bo on mu do serca kołace,
Mędrzec skrzywił twarz bladą, bo go nie rozumié,
Patrzcie: znów w step wzleciał jak Farys skrzydlaty
Łamie się z huraganem, z burzami się pieści,
W tém poczuł w górnych strefach dym rodzinnéj chaty
I przelał całe serce w ojczyste powieści.
By wdzięków nieśmiertelne objawić zarysy,
Trzebaszli zimne sztuki wypełniać przepisy?
Uznajmy tu, jak wszędzie, wyższą niebios wolę
Jest ten mistrz, w sercach, w uczuciu, lecz nie ma
go w szkole.

Inny wiérsz Dwóch śpiéwaków (z roku 1828) opowiada, jak starszy Rej oddawał piérwszeństwo młodemu Kochanowskiemu:

„Gdybym miał nawet twój wiek i twe siły
I nie schylał się pół-ciałem do grobu,
Byłbyś nie równie jak brat bratu miły,
Bo dość przestrzeni zostanie dla obu:
W świat byśmy poszli drogą nie tą samą,
Byle się złączyć przed wieczności bramą.“

Czy to nie alluzyja, nie wyraźna dla klasyków nauka? Wiérsz do Mickiewicza po wydaniu Wallenroda i w czasie pobytu jego we Włoszech dowodzi niewątpliwie wielkiego zapału Wężyka dla autora i dla dzieł jego.

Wieszczów ojczystych chlubo i zaszczycie,
Czyś wskrzeszał z mogił zapomniane dziady
Czyliś Grażynie w oku stwarzał życie,
Czyliś malował Świtezi źwierciadła,
Czy na gór krymskich okazałym szczycie
Ryłeś twych natchnień nieśmiertelne ślady,
Wnet ciebie dusza narodu odgadła.
Któż po olbrzymim zarysie
Nawet powodząc oczyma tępemi
Siły poświęceń nie poczuł w Farysie,
A w huraganie wroga naszéj ziemi!

Co więcéj: są nawet ślady naśladowania Mickiewicza przez Wężyka. Konrad, ostatni wódz Jadźwingów, przypomina czasem zwrotami stylu, sposobem opisywania, Grażynę lub Wallenroda: Treść jego ma myśl podwójną: pobity wódz Jadźwingów umierając rzuca przekleństwo na Lachów za zagładę niewinnego plemienia, które spokojnie żyć przy nich mogło i przepowiada, że kiedyś poniosą za to karę: a równocześnie ten wódz, który bez sił i środków, nierozmyślnie, ślepo, z namiętności tylko rzuca się na silniejszego nieprzyjaciela i ginie wraz z całém swojém plemieniem, to powieść napisana w roku 1829 czy nie jest ostrzeżeniem, czy to pod formę poetyczną i allegoryczną nie broszura polityczna może uprzedzająca wypadki?

Z roku 1831, jest początek większego poematu, który znać pisać zamierzał i wiersz do naczelnego wodza Skrzyneckiego, wiérsz piękny, pełen oburzenia ale i pobłażania razem dla tych, którzy zdaleka obojętnie na wojnę patrzyli, pełen stałości i odwagi, bezpośredniego skutku nie pewny, w sprawiedliwość ostateczną ufny, zbyt nieszczęściem długi, iżby mógł tu być przytoczonym.

Potém przez długie lata wiérszy mało: z Warszawą stósunki przerwane, nie ma Towarzystwa Przyjaciół Nauk: czynność naukowa czy literacka nie ma w kraju środka, rozbija się na różne punkta i koła, przenosi się za granicę: życie poety, choć nie jego myśl i uczucie, zamyka się coraz bardziéj w Krakowie: wiérsze jego wspominają o różnych drobnych miéjscowych wydarzeniach, znać w nich trochę ciche ciasne życie małego miasta. Ale nie to jedno tylko. Myśl wybiega poza te granice i z utęsknieniem czegoś zawsze wygląda, coś wspomina. W piérwszym naprzykład wiérszu od roku 1831go, tak on odpowiada jakiemuś przyjacielowi, który znać wyrzucał mu, że nie pisze:

Niech złote bramy chrobra wzruszy ręka,
Wierzynek raczy purpurowych gości,
Niech tu do hołdu książę pruski klęka,
Niech młódź z Byczyńskiéj wracająca bitwy
W rynek krakowski ciągnie na gonitwy....
Gdy będą czyny, znajdą się wieszczowie....
Na widok mężów cisnących się w dzieje
Rośnie pierś wieszcza i głos olbrzymieje.

Ale przez ten smutek przebija wiara w lepsze losy, tém piękniejsza, że spokojna, wolna od złudzeń, nie żądająca i nie spodziewająca się niczego dla siebie:

Czy nam czas lepszy blizki, czy daleki,
Jeszcze on dla mnie czarną mgłą przysuty:
Bo za swawoli trzy wieki
Mało pół wieku pokuty —
Trzy pokolenia przez losy zażarte
Zginą, lepszości doczeka się czwarte,
Zapomną ludzie o niecnéj grabieży;
Ale Bóg świadek ciężkiéj nieprawości
Z niebios grom pomsty na winnych wymierzy....

A wtedy kończy poeta:

Proch mój zabrzmi hymnem zmartwychwstania. Ale nie zawsze jest poeta tak smutnym. Owszem ma w naturze taki zasób wesołości i humoru, że łatwo siebie i drugich rozpogodzi. Z niektórych jego wierszy możnaby myśleć, że to jakiś wierny uczeń Horacego, który o tém tylko myśli, żeby pod lipą, jeźli nie pod mirtem, z kieliszkiem węgrzyna, jeźli nie z czarą Falernu, bez trosk gwarzyć z przyjaciołmi i używać życia.

Nawet z własnéj śmierci gotów czasem żartować, kiedy ją jakiś dziennik rozgłosił.

Dziwny los spotkał nas obu,
Choć wiek nasz ośmią znaczym krzyżykami
Lecz zostaliśmy przed wnijściem do grobu
Nieboszczykami.

Przyjdzie zapewne chwila niepozbyta,
Nikt jéj pardonu w końcu nie otrzyma;
Lecz gdy trup zdrowy swój nekrolog czyta
Djabeł się zżyma.
Bo choć syn fałszu i biesów jenerał
Na bajdy ludzkie wre w nim zawiść wściekła.
Gdy z gazet łaski na pogrzeb się zbierał
Prysł na mój widok do piekła.
Bawił tu latem pan Ludwik Wołowski.
A że mu byłem od lat dawnych znany,
Spytał więc kogoś na wiarę pogłoski
Gdzie kasztelan pochowany?
Gdym to usłyszał stojąc niedaleko:
„Ja ci — odrzekłem — treść prawdy odkryję:
„Jeszcze méj trumny nie gotowe wieko,
Więc tymczasem jém i piję.“
Jest dziś w obiegu powiastka ludowa,
Że gdy wieść śmierci żyjącego zdyba,
Nie prędko grabarz takiego pochowa —
Aż w sto lat chyba.
Sto lat? To wiele w czasach niestatecznych,
Lecz żyjmy póki się Bogu podoba:
Potém na pogrzeb przyjaciół serdecznych
Zaprośmy oba.“

Raz znowu na wyjezdném do Marienbadu tak żegna Kajetana Koźmiana:

W ziemi Libuszy odkopane zdroje,
Rozgłos z uzdrowień zyskały szeroki
Tam więc z stron różnych zebrane opoje
Piją jak smoki.

Kto pigułkami napróżno karmiony,
Z kuchni łacińskiéj nie chciał jeść obiadu,
Tego rad wypchnie eskulap strapiony
Do Marienbadu.
Czyżby mnie w siły nie lepiéj zbogacił
Węgrzyn w przejrzystym pachnący krysztale?
Mnie szukać zdrowia tam, gdziem go nie stracił
W wodzie i w kale?

Ta dumna pogarda dla wody, a cześć dla węgrzyna powtarza się nieraz zabawnie w wiérszach kasztelana. Oto co raz odpowiada Deotymie zapraszającéj go na herbatę:

Próżno śpiéw wznosząc w obrazy bogaty
Odwar z chińskiego polecasz mi plonu,
Lat siedmdziesiąt żyłem bez herbaty
Pozwól jéj nie znać do zgonu.
Gdy przedtém Polak z wina zachorował
Herbatę doktór zapisywał śmiały,
Aptékarz zważył i opieczętował
Funtem się obszedł kraj cały.
Kogóżby wzgląd ten do łez nie poruszył,
Że grosz i zdrowie na to ziółko trwonim —
Co Chińczyk wypił i znowu wysuszył
A kacap po nim?
Zbiegłych aniołów z kruszwickiego grodu
Gdy w goście chata przyjmowała cicha,
Piast wyszedł do nich z pełnym dzbanem miodu,
Z chlebem i solą Rzepicha.
Spełniwszy duszkiem szumne płynu czary
Rzekli anieli siedząc u kominka:
„To łebski gazda ten kołodziéj stary,
Zróbmyż królem jego synka!

I tak się stało. Dziejowe wypadki
Jedno źdźbło zwróci ku przeciwnéj szali:
Gdyby Piaścina dała im herbatki
Poszliby daléj i daléj. —

Takie wspomnienia przeszłości wesołe, poufałe, a przejęte serdecznêm do niéj przywiązaniem, dodają nieraz wdzięku urywkowym poezyjom Wężyka, i często się w nich trafiają. Kto umiał przeszłość kochać i czcić i mówić o niéj poważnie, temu wolno było czasem jéj użyć do wesołego żartu. Takim jest naprzykład powieść o Smoku Wawelskim napisana jeszcze w roku 1845, któréj powodem było zasypanie wejścia do smoczéj jamy:

Smok z pod Wawelu gdy poległ z rąk Kraka
Zostawił dzieckiem syna jedynaka.
Biedna sierota bez żadnéj opieki
Słysząc co się z ojcem działo,
Wlazła w kąt jamy, okryła się skałą
I rosła cicho dwa wieki.
I smok się znudzi, długo a bez celu
Siedząc na miejscu. Gdy raz wyszedł rano,
Słyszy, że huczą zuchy na Wawelu
Pod Bolesławem, co go Chrobrym zwano.
Więc znów się schował... Lecz gdy innéj pory
Chciał na świat wyjrzéć, źle trafił raz drugi,
Bo mu królewskie zaręczyły sługi,
Że na Wawelu zawładnął Batory:
Że ten Pan smoków nie lubi,
Że gdzieś tam smoka północnego czubi.
Strach ma mówią wielkie oczy. —
Na tę wieść spiesząc w swój kątek

Dostaje febry nasz bohatér smoczy
I chorował lat dziesiątek;
I już miał umrzeć. W tém pod berłem Szweda
Znalazł się lekarz od wszelkiéj niedoli,
Lekarz cudowny — któż mi wiary nie da
Słysząc, że tym lekarzem był uczeń Lojoli.
On się smoka ulitował,
Przepisał mu wino stare,
Wkrótce nasz chory po jamie tańcował.
Traf ten w przyjaciół zmienił zacną parę —
Odtąd smok hulał wszelkich wygód syty
Za pomocą Jezuity:
I dotądbyśmy przed smokami drżeli,
Gdyby im nie pomieszał szyków Ganganeli.
Smok długo żyje. Nasz pełen chciwości
Przeżył liczbę lat nie lada.
Niedawno skakał z radości
Słysząc, że w naszém mieście mądry Senat włada;
Cieszyła go nadzieja instynktem pojęta.
Że ten rząd uszczęśliwi ludzi i zwierzęta.

Ale ta nadzieja zawiodła. Zrazu zasypano smokowi wejście do jamy, tak, że się o mało nie udusił z braku powietrza: potém wprawdzie na jego prośby i protestacyje zrobiono otwór nowy, ale tak niestósowny, tak nie estetyczny, że smok zmartwił i zgorszył się bardzo:

„Gdy ludzie nie szanują odwiecznych pamiątek,
„Gdy je przeistaczają prawicą nieczułą,
„Już mi moja jaskinia na zawsze obrzydła.“
Tak rzekł, i na Bielanach został kamedułą.

Poważnych zaś zwrotów do przeszłości jest za wiele, żeby je przytaczać można: jest nawet mały poemat pod tytułem Piast. Znajdzie się w nim dowód, jak Wężyk z wiekiem nie kostniał, lecz owszem przyjmował łatwo nowe wpływy, przyswajał sobie nowe formy i tony. Oto naprzykład pieśń, którą zebrany lud wita Piasta:

Witaj Piaście kołodzieju
A dziś książę nasz,
Dotąd koła i kłonice
Kładł na osie rąk twych trud,
Złóż wóz większy— bo woźnicę
Chce mieć z ciebie lud.
Dotąd twoje rodne pole
Sławne było wzdłuż i wszerz,
Spuść dziś Piaście kmiecą rolą
A włodarstwo bierz.

Po dźwięku możnaby myśleć, że to strofa z jakiéj pieśni Janusza.

Miłe i piękne do widzenia jest u Wężyka to uczucie życzliwe, serdeczne dla młodych poetów. Nie mówiąc już o Deotymie, względem któréj przyjaźń może go zbyt pobłażliwym czyniła, ale dla innych, z którymi go przyjaźń nie łączy, a którzy więcéj od niego mają słuchaczów i powodzenia, nie ma nic prócz życzliwości. Czyta ich wszystkich, cieszy się, kiedy przeczyta co dobrego, sądzi ich raczéj zbyt łagodnie niż zbyt surowo. Wprawdzie na dziwactwa ultra-romantycznéj Muzy cierpliwym nie jest i wyśmiewa je dowcipnie w wierszowanym liście do Koźmiana: wprawdzie kiedy Korzeniowski w przedmowie do któregoś

ze swoich romansów napisze, że jedyną w przyszłości formą literacką na poezyję czy na umiejętność, będzie powieść, to Wężyk słusznie zgorszony odpowiada na to spokojnie lecz z góry. Ale nie mówiąc o têm, że Krasińskiego wielbi podług wartości, umié on oddać sprawiedliwość każdéj, nawet skromnéj zasłudze, dla Syrokomli ma słuszne uznanie: dla Pola gorącą przyjaźń i podziwienie, wróży mu w jednym wiérszu, że lutnia Kochanowskiego przejdzie dziedzictwem w jego ręce.

Ale najbardziéj zajmujące i zarazem najsympatyczniejsze może są te wiérsze, w których mówi o poezyi swojéj własnéj. Tyle tam prostoty, takie zdanie zdrowe o swoim talencie, taki brak zarozumiałości, a tyle dziwnego uczucia, tyle duszy, tyle miłości poezyi, piękności, Boga, ojczyzny, wszystkiego co dobre, wzniosłe, szlachetne. Taki jest wiérsz umieszczony jako przedmowa na początku Bezkrólewia drugiego, taki wiérsz dodany do Edypa, a pisany z myślą, że ma być ostatnim, i ze spojrzeniem poza siebie na cały swój poetyczny zawód:

Drugie pół wieku w otchłań czasu spływa,
A do grobowéj przyciśnion krawędzi
Jeszcze się starzec na pieśń nową zrywa?
Już to dźwięk pieśni ostatniéj — łabędzi;
Bo skoro wybrzmi piosnka donucona
I on z nią skona.
Ty, któréj w niebach hołdują anieli,
Co brzmisz hymnami u pańskich ołtarzy
Sponiewierana przez błędnych czcicieli
I potępiona na pastwę kramarzy —

Roztocz poezyjo na szczére obrońce
Twych wdzięków słońce.
Nie wziąłem z niebios wyższego natchnienia:
Lecz przy miłości potężnym zasobie,
Tobie od dziecka wszystkie moje tchnienia
I dni i nocy poświęcałem tobie.
Dziś zbiegły z ziemi dojrzawszy cię w niebie
Wzdycham do Ciebie.
Cóż na to rzeknie twych wdzięków potwarca
Czyż mnie lub tobie poczyta za zbrodnię,
Żeś pocieszała młodzieńca i starca,
Że nie brzmisz niosąc grobową pochodnię:
„Tędy od wiernych droga wydeptana
Wiedzie do Pana.“
Pójdę nią, pójdę i prosto i śmiele:
W duchu tym dni mych dokonam osnowę.
Wielem zniósł, przemógł, wycierpiałem wiele —
A w ciężkim trudzie skołataną głowę
Ufając szczérze w miłosierdzie boże,
Spokojnie złożę.

Najpiękniejszy z tych wiérszy o sobie, istotnie bardzo piękny, ma tytuł Smutno mi Panie. Dziwne zbliżenie: sędziwy klasyk dał najpiękniejszemu ze swoich natchnień ten sam napis, jaki położył na jednym z najrzewniejszych swoich wiérszy romantyk młody i najskrajniejszy, tamtemu wprost przeciwny i nie sympatyczny wcale:

Smutno mi Panie! Na téj nędznéj ziemi
Odarty z siły, pociech i swobody,
Przebijam nieba oczyma łzawami:
Czy tam weselszéj nie znajdę gospody.

Bo tu, gdzie zwrócę oko me lub ucho,
Wszędzie pustynię napotykam głuchą;
Bo przez ubiegłe od młodości lata
O klucz do szczęścia pytałem u świata.
Lecz świat na moje nie odrzekł pytanie.
Aż potargawszy w ciężkim trudzie siły,
Gdy drżącą stopą dotykam mogiły
Smutno mi Panie.

Minęła wiosna wśród rajskich uniesień,
Lato swym skwarem znękało pielgrzyma,
Przeszła bez żniwa życia mego jesień —
I dziś mordercza przyciska mnie zima.
Czyż sny młodości i złote nadzieje
Zanim z nich burza wonny kwiat obwieje
Po długiém życiu choćby raz przed zgonem
I najskromniejszym nie pocieszą plonem?
Czy w twojém słowie święte zaufanie,
Z którém wychodzim w drogę życia ślizką
Wyjdzie wierzącym na urągowisko?
Smutno mi, smutno o Panie!

Dałeś mi serce i trochę zdolności —
Rychłom ku cnocie ramiona wytężył,
Zwiodłem walk wiele z hydrą przeciwności,
Opiérałem się — alem nie zwyciężył.
Próżno młodzieńczym uniesion zapałem
Echa mym czuciom wśród ludzi szukałem,
Próżno przez życia wzburzone bałwany
Brnąłem sam jeden i niezrozumiany
Tę, którym zdolność, przyjaźń lub kochanie

Snują nić złotą i w dojrzalszych latach,
Lecz pocóż marzyć o powiędłych kwiatach?
Smutno mi, smutno o Panie!

Dar pieśni brzmiących jest potężnym darem,
To balsam z niebios na ludzkości rany;
Lecz ołowianym dar ten jest ciężarem,
Gdy śpiew o głuche rozbija się ściany.
Inny czas innych śpiewaków powołał
Aż do serc, których śpiew ten trafić zdołał.
Stargani w krwawych a płonnych wysiłach,
Już od lat wielu drzemią po mogiłach:
Tak z lutni wziętéj pod dni mych zaranie
Z lutni w bolesnych rozstrojonéj jękach,
Co się dziś w skrzepłych potrzaskała rękach
Zwracam Ci drzazgi o Panie!

Czemu mnie wyrok przykuł do téj ziemi,
Krew po niéj wszystkie sposoczyła skiby;
Męże jéj brzęczą łańcuchy ciężkiemi,
Kradną z niéj dzieci okowane w dyby,
Eblis się po niéj rozszalał od złości:
Lecz w niéj naddziadów spoczywają kości —
Już tchem ostatnim ludzkość na niéj kona:
Alem ja wyszedł z jéj świętego łona —
Długoż trwać będzie piekieł panowanie?
Gdzież uciśnionych jest Bóg i obrońca?
Więc gdy téj nędzy nie oglądam końca,
Smutno mi, smutno o Panie!

Tyle krwi naszéj wylało się marnie,
Tyle się luda zmieniło w tułaczy:
Tyle wygniotły pęta i męczarnie,
Że nie zostanie nic — oprócz rozpaczy —

„Rozpaczy?...“ odrzekł głos z góry surowo,
„To jest bluźniercze w uściech męża słowo:
„Spójrz tam, gdzie mleczna wyciska się droga
„Zajrz wewnątrz siebie i poszukaj Boga.
„Śmierć idzie z życia, z śmierci Zmartwychwstanie:
„Każdy cud musi poprzedzić ofiara
„Gdzież się podziała silna w cud ten wiara?
„Przebacz mu, przebacz o Panie!

„Ty cierp i ufaj w niebieską przestrogę.“
Będę więc cierpiał — i zaufam śmiele:
Lecz któż mię zwraca na zmyśloną drogę?
Tyżeś to z niebios zesłany Aniele?
Jakżeś mógł trafić w to smutku zacisze?
Otuch nieznanych głos uroczy słyszę
Widzę przez ciemność, co tę ziemię mroczy,
Dwie gwiazd, jak z Nieba w twoje wchodzą oczy;
Widzę i w duszę wraca zaufanie —
I wiara w przyszłość silniéj we mnie tleje,
I krzepszą w sercu poczuwam nadzieję
Już mi mniéj smutno o Panie!

Cóż to? cud stał się — rozprysłe kawały
Lutni moc jakaś w dziwne kształty klei.
Nieznane dźwięki z jéj głębi zabrzmiały:
Słyszę hymn wiary, miłości, nadziei!
Jakaż potęga życiem ją natchnęła —
Dźwiękiem lutni wyższe opiewając dzieła
I głosi światu boskie panowanie;
Pod wpływem blasku cudotwórczéj tęczy
Niech głos twój gromi, pociesza, lub jęczy
A ty skończ pieśń tę o Panie!

Oto pokrótce wiadomość o niewydanych poezyjach Wężyka, który sobie i nam zbytecznie niedowierza, kiedy w jednéj z nich wyraża obawę, raczéj może tylko proste przewidywanie, że i wiérsze i autor pójdą wkrótce w zapomnienie. Autor zapomnianym być nie może: zbyt wiele zostawił na to po sobie pamiątek. Nie teraz pora mówić o jego życiu i zasługach, ale wspomnieć można choć to jedno, co się do tego miejsca szczególnie odnosi. Z powołania literat, poeta, nie był Wężyk ściśle biorąc przeznaczonym do działania w sferze umiejętności. Żadnéj w szczególności nauki nie zbogacił ściśle naukowemi pracami. Ale przewodnictwo jego trzechletnie w Towarzystwie Naukowém nacechowane jest wyraźnie i pięknie duchem zabiegliwym, organizacyjnym, obywatelskim. W piérwszéj swojéj przemowie zajmując krzesło Prezesa, bezwiednie może sam tak wytknął kierunek swojéj przyszłéj działalności. Zaczął od przypomnienia, że „w końcu ubiegłego stulecia, gdy zapadł wyrok „zagłady na cały naród, kilku gorliwych zebrało się „dla ratowania ostatniéj przodków puścizny, języka, i „to był początek Towarzystwa Przyjaciół Nauk w War„szawie.“ On, niegdyś jego członek za młodu, uważa Towarzystwo dzisiejsze za dalszy ciąg, za spadkobiercę tamtego, i w téj historycznéj łączności widząc rękojmię jedności myśli i celu, zaprasza do młodszego Towarzystwa pozostałych przy życiu członków dawnego, jak Aleksander Fredro i jenerał Morawski. Tamto za cel główny położyło sobie pielęgnowanie narodowego języka: to pod przewodnictwem Wężyka nie tylko pielęgnowało go w swoich pracach, ale broniło jego praw gdzie tylko i jak tylko mogło. Godzi się

tu przypomnieć, że kiedy w roku 1859 wyszło rozporządzenie cesarskie, dozwalające nauczania w językach krajowych po gimnazyjach, a równocześnie wyszedł reskrypt ministeryjalny objaśniający, że rozporządzenie to na gimnazyja w Galicyi rozciągać się nie ma, Towarzystwo Naukowe świadome łaskawych zamiarów korony, uchwaliło podać do Najj. Pana adres z podziękowaniem a zarazem z prośbą o rychłe zastósowanie nowego rozporządzenia do szkół naszych. Adres ten nie mógł być podanym. Sprzeciwił mu się reprezentant ówczesnego rządu, pod pozorem, że Towarzystwo przekroczyłoby zakres swoich atrybucyj. Czując się jednak w swojém prawie, Towarzystwo zaniosło rekurs do Ministra Oświaty. Czy te jego kroki przyczyniły się do ostatecznego szczęśliwego końca sprawy tak dla kraju ważnéj, trudno z pewnością twierdzić, ale z pewnością dowodzą one przynajmniéj gorliwości Towarzystwa i jego sędziwego Prezesa, i wysokiego, prawdziwie obywatelskiego pojęcia swoich obowiązków.

Ta sama myśl i pamięć o Towarzystwie Przyjaciół Nauk nasuwa mu od piérwszéj zaraz chwili pomysł, który stał się z czasem jednym z trwałych i najwidoczniejszych śladów jego czynności. Wspominając znakomitych uczonych z piérwszych lat naszego wieku, Czackiego, Ossolińskiego, Albertrandego, zamyka ten szereg imieniem Staszyca, dla którego miał zawsze cześć szczególną, i przypomina, jak zasługą i hojnością Staszyca Towarzystwo warszawskie przyszło do stałego, własnego, poważnego przybytku. Mieć swój dom, to dla instytucyi jak dla ludzi ustalenie w życiu, zabezpieczenie przyszłości. Dobrzeby było,

gdyby i krakowskie Towarzystwo Naukowe własny dach mieć mogło, ale spodziewać się tego trudno: „nie ma między nami Staszyców.“ Tym swoim słowom dał Wężyk rychłe zaprzeczenie. Nie tak wszechstronny, nie tak sławny, nie tak zapewne zdolnością potężny jak Staszyc, nie był téż tak zamożnym jak tamten, i nie mógł własnemi środkami wznieść domu dla Towarzystwa. Ale co mogła zrobić ofiara pieniężna, darowizną i pożyczką, dodana do energicznego nieustannego starania, to Wężyk zrobił: i pokazało się, że jeżeli nie ma między nami autora Życia Jana Zamojskiego i Przestróg, to znalazł się przynajmniéj między nami ten Staszyc, który postawił dom Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Zapomnianym on nie będzie ani w kraju, który wié o jego przykładném pożyteczném życiu, ani tém mniéj w mieście, które na ten żywot zblizka i tak długo patrzyło. A poezyje? Są zapewne piękniejsze: ale na tych wybił się ten urok, jaki serce szlachetne i proste nadaje wszystkiemu co robi, i zostały w nich te zalety, jakie dać może talent niepośledni wsparty na sumiennéj starannéj usilności, na umyśle poważnym i wysoko wykształconym, na wykwintnym smaku i wielkiém zamiłowaniu literatury. Czytając je, podsłuchując tych dotąd dla świata utajonych uderzeń jego serca, poważa się go zawsze wysoko, zazdrości mu się nieraz. Zazdrości się chwil pięknych, które przeżył, i uczuć gorących, których nie przeżył: zazdrości się, że choć wielekroć zawiedziony, nigdy zniechęcić się nie dał i „miał siwiznę młodszą niejednéj młodości.“ że dla siebie tak skromny— (nawet jako poeta)—dla innych

był tak życzliwym, tak pełnym dobréj woli, tak łatwym i skorym do sympatycznego uznania, do podziwienia i zapału, że czystym był zawsze a czynnym nigdy być nie przestał: zazdrości mu się nawet téj skłonności do żartu i śmiechu, téj wesołości pogodnéj, która starości, sprawiedliwości tak pięknie przystoi. A po tém wszystkiém nie trzeba już tłumaczyć, dla czego czytając te wiérsze, jest się przejętym wysoką i żywą czcią dla autora.